

Szczeńcie w Ranthambore

20 lipca 2009



– Mieliście naprawdę duzo szczęscia. Niektórzy przyjeżdżają tutaj na sześć dni, a udaje im się zobaczyć tylko antylopy. A wy? – kelner w hotelowej restauracji, mimo nieznikającego uśmiechu, wydawał się być poruszony taką niesprawiedliwością. Informacja o naszym wyczynie szybko obiegła Sawai Madhopur Lodge, luksusowy ośrodek położony dwa kilometry od bramy Parku Narodowego Ranthambore w północnych Indiach. Rezerwat ten jest jednym z najlepszych miejsc do podglądania tygrysów w ich naturalnym środowisku. Na blisko czterystu hektarach rezerwatu żyją ich trzydzieści cztery sztuki. Biorąc pod uwagę, że nie są one w ogóle dokarmiane, ani że w żaden sposób nie ogranicza się przemieszczania, trzeba mieć faktycznie duzo szczęscia, żeby zaobserwować choć jednego, tego żerującego nocą samotnika.

Wizytę w rezerwacie Ranthambore zaczęliśmy podobnie, jak kilkanaście tysięcy turystów z całego świata, którzy odwiedzili Park przed nami w tym roku – od pochylenia głowy i przyjęcia powitalnej girlandy kwiatów. W każdym zakątku Indii indyjskie kobiety w sari wyglądają równie olśniewająco. Drink w lobby, transfer meleksem do przydzielonej nam części rezydencji jednego z ostatnich maharadżów Radżasthanu, szybki prysznic i jesteśmy gotowi na spotkanie z najwspanialszym drapieżnikiem subkontynentu– tygrysem bengalskim.

– Nie rozmawiamy, nie wykonujemy gwałtownych ruchów, absolutnie nie opuszczamy jeepów. – Naresh, nasz przewodnik,

nie pozostawia złudzeń. Poczucie zachodniej wolności będzie mocno ograniczone przez następne trzy godziny, które spędzimy w pomalowanej w barwy maskujące terenowej ciężarówce z otwartym dachem. Biorąc pod uwagę, że Naresh w swoim oliwkowym mundurze i ciemnych okularach wygląda równie groźnie jak większość przywódców państw Ameryki Środkowej, nikt nie wychyla się z pytaniem o procedurę w razie konieczności skorzystania z toalety. Po dwóch godzinach sprawa wyjaśnia się sama, gdy my z przejęciem obserwujemy przechodzące stado antylop, pomocnik kierowcy robi to, co musi, kucając w uchylonych lekko drzwiach samochodu. Teraz już rozumiem, dlaczego przewodnikami i kierowcami są wyłącznie mężczyźni. Turyści muszą mieć mocne pęcherze. Bez względu na płeć.

Początkowo nic nie zapowiadało sukcesu. Gdy już oswoiliśmy się z antylopami, które nic sobie nie robiły z naszej obecności i stadami towarzyszącymi nam ptaków, których śmiałość była wprost proporcjonalna do naszej irytacji i zmęczenia, z coraz większą niecierpliwością zaczęliśmy wypatrywać tygrysa. Jednak żaden najwyraźniej nie miał w planie spotkania z nami. – Tygrysy niczego się nie boją. Nasze samochody traktują jak duże krowy. – Nie byłem pewien, czy ta informacja miała nas uspokoić, ale poczułem się nieswojo w roli dużej krowy. – Jeśli będą miały ochotę nam się poprzyglądać, to wyjdą. Wczoraj widziano w tym rejonie dużego samca. Jeśli dopisze nam szczęście, to go dzisiaj spotkamy. – nasz przewodnik nie pozostawił złudzeń, kto tutaj jest panem sytuacji. Po około półtorej godziny leniwego jeżdżenia wokół jednego z dwóch jezior znajdujących się w tej części parku, usłyszeliśmy dziwny dźwięk. Nie był to żaden ptak, ani drapieżnik. Było to charakterystyczne nawoływanie innego przewodnika, który zauważył tygrysa. Kierowca zrobił gwałtowny zwrot i na pełnym gazie pognął pełną wertepów drogą na drugą stronę jeziora, wzbijając tym takie mnóstwo pyłu i robiąc tyle hałasu, że chyba każdy tygrys w okolicy zorientował się, że nie jesteśmy krową.

Każdy, ale nie "nasz". Ten majestatycznie wylegiwał się na odległym cyplu, do którego nie dało się dojechać samochodem, nic sobie nie robiąc z nerwowych ruchów kilku grup turystów, próbujących zająć najlepszą pozycję obserwacyjną. Gdy i ja dostrzegłem jego ogromne cielsko, korzystając z małej lornetki, którą nasz przewodnik wykorzystywał chyba przede wszystkim podczas wizyt w operze, zrozumiałem spokój zwierzęcia. Odległość między nami była tak duża, że prawdopodobnie w ogóle nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. Po kilkunastu minutach wyężdżania wzroku i wysłuchiwania relacji tych szczęśliwców, którzy korzystali z lepszych instrumentów optycznych swoich przewodników, poczułem się znużony i nieco rozczarowany. Pewnie nie ja jeden, chociaż większość wydawała się być usatysfakcjonowana faktem, że w ogóle tygrysa zobaczyła. Kolejny dzień miał pokazać, jak bardzo przedwczesna była to satysfakcja.

Bładym świtem wyruszyliśmy na drugie safari. Szczęście wciąż nam sprzyjało. Wylosowaliśmy inny sektor parku, w którym jak donosił Naresh, niedawno widziano tygrysicę z dwoma młodymi. Nauczeni doświadczeniem poprzedniego dnia nie robiliśmy sobie specjalnie nadziei na bliskie spotkanie. I faktycznie. Pierwszą godzinę spędziliśmy podskakując na wyboistej drodze i przekonując się, że nawet w gorących Indiach poranki są rzeźkie. Większość z nas szczekała zębami mimo bluz, polarów i kurtek, które zabraliśmy ze sobą do samochodu dzięki wskazówkom obsługi hotelu. Naresh, kierowca, pomocnik i pracownicy parku, których zabraliśmy po drodze wydawali się być niewrażliwi na przenikliwe zimno. Siedzieli niewzruszeni w koszulkach z krótkimi rękawami i kamizelkach z wielkim logo parku na plecach, wpatrując się w ścieżkę w poszukiwaniu śladów tygrysa.

– Zatrzymaj samochód! – krzyk Naresha wytrącił nas ze stanu odrętwienia. – Tędy szła samica z młodymi! Świeże ślady! – ekscytacja przewodnika rosła z każdą sekundą. Nasze oczy nie mogły jednak w żaden sposób połączyć jego okrzyków z tym, co

widziały na poboczu. Tam nie było żadnych śladów, no może poza śladami opon. Nic tylko piach, pył i sucha trawa. Ale to jemu płaciliśmy za to, żeby widział rzeczy niewidzialne dla nas, laików. Skoro mówi, że szła wtedy samica, to pewnie tak było. Momentalnie zrobiło się cieplej, a przewodnik z kierowcą zaczęli bardzo uważnie przyglądać się okolicznym zarośłom. Po chwili nasza ciężarówka zatrzymała się gwałtownie. Naresh ruchem ręki nakazał milczenie. Wszyscy zamarli wypatrując czegoś po lewej stronie drogi. Początkowo widzieliśmy to samo, co przez ostatnią godzinę, czyli ścianę suchego lasu, sporo opadłych liści, jakieś zarośla. W porze suchej wszystko ma żółto-brązową barwę. Tak się składa, że maść tygrysów również jest żółto-brązowa. – Tam jest! – tym razem przewodnik wydał z siebie pełen podniecenia szept. Moje oczy usilnie starały się zobaczyć, to na co wskazywał. Za cholerę nie widziałem tam żadnej tygrysicy, o młodych nie wspominając. Po chwili jednak mój umysł odnotował jakiś ruch. Plama liści, na której nie zatrzymałem wcześniej wzroku, wstała i zaczęła dostojnie iść w stronę naszej ciężarówki. – O, żesz, ależ on jest wielki! – zauważył przytomnie pan Grzegorz, celując swoim obiektywem w jednego z młodych, który wcale nie był małym tygrysiątkiem. W samochodzie zapanowała absolutna cisza. Wydawało się, że większość wstrzymała oddech. Po chwili, druga kępa krzaków ruszyła się ospale i rozpoczęła marsz w stronę samochodu. Przewodnik wydawał się nagle zupełnie wyluzowany, radosny wręcz.

W końcu coś się dzieje. Ja jednak ciągle miałem w pamięci jego wczorajsze słowa – jesteśmy dla tygrysów “dużą krową”. Nie jest to postać, w którą chciałbym się wcielić, gdyby to była gra planszowa. Ciszę przerywały jedynie trzaskające cichutko migawki aparatów fotograficznych. – O! Widziałeś?! Tam jest chyba matka! – pan Michał wykazał się sokolim wzrokiem. Albo miał najlepszy obiektyw, przez który lustrował okolicę. Faktycznie, powyżej dwójki młodych, jakieś 50 metrów od samochodu leżała wielka samica. Młode zaś niewiele sobie robiąc z naszej obecności podeszły jeszcze kilka metrów,

następnie zległy w odległości może 15 metrów od naszej ciężarówki. Najwyraźniej faktycznie traktowały nas jak jakieś duże, nieszkodliwe zwierzę, bo zupełnie nie zwracały uwagi na nasze podekscytowane szepty. Po 10 minutach, kiedy każdy z nas miał już odpowiednią ilość zdjęć, którymi będzie zanudzał znajomych i rodzinę przez najbliższe miesiące, tygrysy leniwie się podniosły, odwróciły i dostojnie odmaszerowały w stronę gąszczu. Po chwili zniknęły zupełnie i znów można było podziwiać kupę liści i kępy krzaków.

Emocje w samochodzie jeszcze długo utrzymywały się na wysokim poziomie i niektórzy z nas nawet nie zwrócili uwagi na tęgawego jegomościa, któremu ustąpiliśmy miejsca zjeżdżając na pobocze. Gdy wjeżdżaliśmy z powrotem na drogę, nasz przewodnik wydawał się podekscytowany, jakby zobaczył stado tygrysów grających w golfa. – To był Mukesh Ambani! Mukesh Ambani! Macie nieprawdopodobne szczęście! – Naresh wydawał się zapomnieć o parkowym savoir – vivre, przechodząc w tony dalekie od szeptu. – Nie dość, że widzieliście trzy tygrysy naraz, to jeszcze mieliście okazję zobaczyć najbogatszego Hindusa!

Dalszą drogę przez park jechaliśmy oglądając zdjęcia współtowarzyszy. Nie specjalnie już interesowały nas stada antylop, będące być może dzisiejszą kolacją “naszej” tygrysicy. Nawet siedzące na słupkach przy bramie parkowej małpy, karmiące młode nie robiły już wrażenia. My widzieliśmy z bardzo bliska samicę z młodymi. I najbogatszego Hindusa.

Nie wiem, czy ta informacja również dotarła do recepcjonisty naszego ośrodka, ale jeśli nawet tak było, nie dał po sobie tego poznać. Kiedy wymeldowywaliśmy się uśmiechał się kiwając głową – Straszni z was szczęściarze. Tylko dwa dni i cztery tygrysy! Niesamowite! A inni czasem cały tydzień siedzą i widzą “zero tygrysa” – recepcjonista wykonał gest, który wśród nurków oznacza “wszystko w porządku”. Oddając klucz, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem manager hotelu nie będzie chciał wykorzystać naszej relacji w celach marketingowych. I

nie byłem pewien, czy większą wartość miałyby nasze cztery tygrysy w dwa dni, czy spotkanie Mukesha Ambaniego na leśnej drodze. W Indiach niczego nie można być pewnym. Nawet szczęścia.

Autor tekstu i zdjęcia: Adrian Zdrada

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons – Uznanie autorstwa 2.5 Polska